

Obiekt do zniszczenia



Z dwóch helikopterów na dach hali Zakładów Wytwórczych Urządzeń Telefonicznych (ZWUT) w Warszawie wyskakują komandosi z oddziałów specjalnych w czerwonych dresach i kurtkach moro. Kanałami wentylacyjnymi dostają się, po spuszczonej linach, do hali produkcyjnej. Każdy, poza karabinem maszynowym, ma przypięty do nogi szeroki, duży bagnet z zębami piły na grzbiecie. - Pamiętam, że bardzo się bałem, nogi mi drżały. Jedna osoba dostała zawału serca, kilka innych zemdląło - wspomina uczestnik strajku z 14 grudnia 1981 roku Sławomir Karpiński.

Karpiński pracuje dla Solidarności w zakładowym radiowęźle jako dziennikarz i konserwator. W listopadzie 1980 r. po raz drugi zdecydowanie odmawia wstąpienia do PZPR, co jest warunkiem utrzymania tej pracy i wraca na stanowisko konserwatora.

Niektórym zabrakło odwagi

W poniedziałek 14 grudnia 1981 roku już ok. 8-9 rano zbiera się komisja zakładowa NSZZ „S” na ul. Chodakowskiej. Nie wszyscy jej członkowie mogą dotrzeć, bo zablokowane są wyjścia z zakładów. Karpiński korzysta z przepustki kierowniczej i jest na zebraniu. Gdy zapada decyzja o strajku, głosi „za”. O tym, że ZWUT strajkuje, wiedziała cała Praga, bo na największym kominie zawisła biało-czerwona flaga.

- Chcieliśmy uzyskać dostęp do radiowęzła, by przekazywać komunikaty, informować o sytuacji, postulatach, a także, co jest nie bez znaczenia, umilać czas strajkującym. Poszliśmy do zakładowego komitetu PZPR z prośbą o klucze do rozgłośni, ale odmówiono nam. Wiedziałem, że klucz ma towarzysz ormowiec, który przed chwilą zamykał radiowęzeł (z wartownikiem w środku) i uciekł przed nami do komitetu PZPR. W pomieszczeniu było kilku komunistów, powiedziałem, abyśmy go przeszukali. Nie używaliśmy siły - tak jak potem zeznawał i jeszcze dwóch innych towarzyszy, którzy byli wtedy razem z nim. Niestety, nie uzyskaliśmy dostępu do radiowęzła, używaliśmy do nagłośnienia magnetofonu związkowego - wspomina Karpiński.

Około godziny 14, gdy zaczynają przychodzić ludzie na drugą zmianę, idzie na portiernię. Uchwałą komitetu strajkowego na teren zakładu wpuszczani są tylko pracownicy decydujący się przyłączyć do strajku. Sławomir Karpiński: - Spotkałem wychodzących wielu znajomych członków „S”, którzy wcześniej byli aktywni, także funkcyjnych działaczy. Niektórzy tłumaczyli się, że wychodzą na godzinę, idą wziąć z domu jedzenie, koc czy poduszkę, zawiadomić rodzinę - i wrócą. Część ludzi awanturowała się, to ci, którzy chcieli wejść i pracować. Moja wiara w solidarność międzyludzką wtedy się zachwiała. W końcu 400, może 600 osób zdecydowało się strajkować.

Opracowano na podstawie wywiadu przeprowadzonego ze Sławomirem Karpińskim przez Karolinę Aniszewską i Wiktorię Krawczyk w 2015 roku

Cały artykuł w najnowszym numerze "TS" (50/2015)

fot. E. Górski

